

Autorytety

Wspomnienia o Profesorze Stanisławie Siedleckim (1912–2002) – taterniku, polarniku, geologu i podróżniku

ADAM KORPAK

Trondelag 12.3.1972

...Skręciliśmy z głównej drogi w leśną przecinkę, Landrover, którym podróżowaliśmy, miękko sunął po trawiastej drodze, gdy nagle na zakręcie przed samochodem pojawiły się trzy młode brzoźki, tarasujące dalszą jazdę. Zatrzymałem samochód. Staszek pochylony nad mapą podniósł głowę i zapytał:

– Dlaczego się zatrzymałeś?
– Koniec drogi, dalej nie mogą jechać – odpowiedziałem zgodnie ze stanem faktycznym.

Na to Staszek:

– Ależ jedź dalej.

– Ale jak? – zapytałem.

– Jedź prosto przed siebie.

Włączyłem pierwszy bieg i wolno ruszyłem. Drzewa stojące na naszej drodze zbliżały się nieuchronnie. Kiedy samochód dotarł do drzew, ustąpiły pod naporem. Dał się słyszeć potężny szum drapiących podwozie samochodu gałęzi. W napięciu jechałem wolno dalej. Staszek zanurzył się ponownie w studiowanie mapy. Po chwili słychać było już tylko szum silnika, a przed nami droga była znowu przejezdna. Popatrzyłem w lusterko wsteczne, za nami stały ponownie wyprostowane trzy młode brzozy, które przed chwilą stanowiły zaporę, wydawałoby się nie do przebycia...

Trondelag 25.4.1972

...Morze w tym dniu było szare i burzliwe, w oddali widniały wystające z morza czarne skały.

– Tam mnie wysadzisz – powiedział Staszek, siedząc na środkowej ławce łodzi i pakując do plecaka młotek geologiczny. Zarzucił go na plecy.

Płynęliśmy do tej wyspy, a właściwie wystających z wody skał o powierzchni około 300 m². Stanisław Siedlecki wykonywał owe prace na zlecenie Norweskiego Instytutu Geologicznego w Trondheim (Norges Geologiske Undersøkelse), którego wówczas był pracownikiem.



Adam Korpak i Stanisław Siedlecki w Norwegii, 1974

Fot. ze zbiorów Autora

Mieliśmy ograniczony czas przed przypiływem. Opłynąłem wyspę, szukając spokojnego miejsca do lądowania. Jednak skały i wzburzone w tym dniu morze nie zezwalały na przybicie do kamiennego brzegu. Staszek, bacznie obserwując brzeg, wskazał miejsce, do którego właśnie się zbliżaliśmy, i powiedział:

– Wysadz mnie tu, i czekaj na mój znak ręką po zakończeniu pracy. Pływaj w pobliżu, ale trzymaj się z dala od brzegu, bo fala jest dość duża. Wskoczę z powrotem do łodzi w tym samym miejscu, gdzie teraz mnie wysadzisz, bez lądowania. Teraz staraj się płynąć jak najwolniej do tego miejsca – i tak samo później, gdy będę czekał. Wskoczę do łodzi również w biegu.

„Wylądowanie” Staszka odbyło się sprawnie – wyskoczył z łodzi lekko, mimo jego potężnej postury. Widziałem, jak na wyspie oddalał się od brzegu, wyciągając z plecaka swój młotek geologiczny.

Opływałem wyspę, czekając na zakończenie jego pracy, fala była dość spora i przypiływ się już rozpoczął. Nade mną było stalowe zachmurzone niebo. Nie było wiatru, ale Morze Norweskie (Norskehavet) jest zawsze „ruchliwe” –

Kilka faktów, które pojawiają się w moim tekście, zaczerpnąłem z artykułu Piotra Köhlera pt. *Spuścizna Stanisława Siedleckiego (1912–2002) w zbiorach Zakładu Badań i Dokumentacji Polarnej im. Prof. Zdzisława Czepego Instytutu Botaniki Uniwersytetu Jagiellońskiego*, opublikowanego w „Krakowskim Roczniku Archiwalnym”, tom 18, 2012.

▶ nawet bez wiatru. Obserwując Staszka, zauważyłem, że po pewnym czasie zbliżył się do miejsca, gdzie wyskoczył z łodzi, i podniósł do góry rękę. Popłynąłem tam, gdzie stał, rozglądając się pilnie wokoło łodzi, czy nie ma skalnych płyczn, o które mógłby zawadzić propeler łodzi. Poda mną była tylko ciemna głębia.

Staszek stał tam, gdzie się umówiliśmy. Podpływałem wolno, ale zanim zbliżyłem się do miejsca, gdzie stał, potężna fala wyprzedziła mnie i niemal do pasa oblała go, stojącego jak monument. Zdrętwiałem z obawy, czy nie został przez uderzenie zmyty do morza, ale on stale tkwił w tym samym miejscu. Kiedy się doń zbliżyłem, zważył się z hukiem wprost do łodzi. Był zupełnie przemoczony. Wyjął z kieszeni zabezpieczone futerałem okulary, spokojnie zdjął gumowe buty, wylał z nich spore ilości wody i powiedział:

– Płynię do brzegu, powinienem mieć jakieś suche ubranie w samochodzie.

Płynęliśmy w milczeniu. Oglądałem się wstecz. Zobaczyłem, jak pod wpływem wzrastającego szybko przyptywu, wyspa powoli zanurzała się w morzu. Skierowałem łódź ku widniejącemu na horyzoncie brzegowi, na którym pozostawiliśmy samochód. Gdyby nie rzucane od czasu do czasu przez Staszka uwagi, kierujące mnie do miejsca lądowania na brzegu, zapewne nie udałoby się nam wylądować dokładnie w tym samym miejscu, z którego wyruszyliśmy na wyprawę.

Wciągając i zabezpieczając na chwilę łódź, zanim wtaszczyły ją na przyczepę, zobaczyłem, że Staszek, poszedł do samochodu i zniknął w jego wnętrzu; po chwili był już w starej, ale suchej odzieży. Potem pokazał mi swoje trofea: liczne kamienne próbki, które czyniły jego plecak bardzo ciężkim – to zapewne w jego ciężarce tkwiła tajemnica, dlaczego fala nie zdołała go zmyć do morza. Dopiero teraz, jedząc przywiezione ze sobą kanapki, dyskutowaliśmy o tym, co właśnie tak szczęśliwie dla nas się skończyło...

* * *

Powyższe dwa teksty są fragmentami moich dzienników, prowadzonych w czasie pobytu na półrocznym stypendium w Norwegii w roku 1972. Jak doszło do tych zdarzeń.

Numer telefonu do Stanisława Siedleckiego otrzymałem w Krakowie przed wyjazdem na otrzymane półroczne stypendium Królewskiego Rządu Norwegii. Punktem docelowym mojego stypendium było Trondheim, pierwsza stolica Norwegii, ze wspaniałą gotycką katedrą, unikalną w całej Skandynawii. To wyczytałem już wcześniej – przed moim wyjazdem z Polski. W Trondheim przypisany zostałem do NTNU–Trondheim, Norwegian University of Science and Technology, Faculty of Architecture and Fine Art, gdzie miałem odbyć staż asystenta. Była to moja pierwsza wizyta w Norwegii, i w Skandynawii w ogóle. Norwegia zauroczyła mnie od pierwszego wejrzenia – niezwykłym krajobrazem i unikalnością kraju, gdzie wszystko w przyrodzie jest ekstremalne i tak różne niż w innych krajach Europy.

Był styczeń roku 1972. Po kilku dniach pobytu w Trondheim, kiedy ustalono już program mojego pobytu stypendialnego i zostałem zakwaterowany w miasteczku studenckim, zatelefonowałem wieczorem do Stanisława Siedleckiego. Po przedstawieniu się i przekazaniu pozdrowień od jego znajomych z Krakowa, usłyszałem zaproszenie: „Niech więc pan zaraz wpadnie do mnie na kolację, jestem w domu sam”. Idąc do niego, zobaczyłem po raz pierwszy zorzę polarną – *aurora borealis*, która w tym styczniowym czasie była tam zjawiskiem na niebie codziennym dla każdego mieszkańca. Ale nie dla mnie. Długo patrzyłem, urzeczony skalą i aktywnością tego zjawiska.

Drzwi do jednego z szeregowych domów otworzył mi starszy ode mnie pan – silnej budowy, z lekko siwiejącymi

włosami, o okrągłej twarzy, w okularach z grubymi soczewkami i w grubej oprawie. Wszedłem do wnętrza domu. Tak rozpoczęła się nasza znajomość.

W ciągu kolejnych pięciu miesięcy mojego pobytu w Trondheim każdy wolny od pracy na uczelni dzień oraz soboty i niedziele spędzałem z Staszkiem, który odkrywał dla mnie coraz to nowe zakątki Trondelagu, czyli okolic Trondheim, zabierając mnie zazwyczaj w charakterze kierowcy i sternika łodzi motorowej. Nawigacji i sterowania oraz dobijania do brzegu nauczył mnie w pierwszych naszych podróżach.

Jego wiedza o Norwegii i jego doświadczenia w tym kraju nauczyły mnie wiele. Nie tylko otrzymałem wiedzę o tym północnym kraju, ale przede wszystkim wiedzę o unikalnym sposobie życia człowieka w bliskości z naturą, co dla każdego Norwega jest sprawą tak oczywistą. Dzięki doświadczeniom i umiejętnościom zachowania się w trudnych warunkach polarnej, surowej przyrody, gdzie popełnianie błędów może zakończyć się tragicznie, uczył mnie Staszek umiejętności współpracy z naturą.

W czasie naszych długich wycieczek słuchałem opowieści o jego wędrownkach przez Tatry, o jego pierwszym trawersowaniu Svalbardu (Spitsbergenu) w 1936 roku, razem ze Stefanem Bernadzikiewiczem i Konstantym Jodko-Narkiewiczem. Staszek opowiadał mi też bardzo ciekawie o budowie geologicznej Norwegii oraz o wielu, wielu innych sprawach. Dość spora różnica wieku między nami nigdy nie stanowiła problemu. Kiedy jechaliśmy na wyprawę samochodem, lubił śpiewać ludowe piosenki norweskie – a znał ich wiele. Pamiętam te tasiemcowe piosenki o niezliczonych zwrotkach, które wtedy wyśpiewywał. Był znakomitym gawędziarzem. Czas wspólnie spędzany mijął nam bardzo szybko.

Naszą ostatnią wędrownkę odbyliśmy do miejsca niedaleko Trondheim, które zakupił pod budowę domu letniego, pięknie położonego w lesie nad morzem, na odludziu, wśród pięknej natury. Nie wiem, czy do zbudowania tego domu doszło.

Wiem natomiast, że po przejściu na emeryturę w wieku 67 lat, Staszek wiele podróżował po świecie: Australia, Brazylia, USA, potem zamieszkał w Austrii, skąd w 1991 roku wrócił do Polski.

Warto przypomnieć, że w latach 1943–1944 opiekował się zbiorami geologicznymi Muzeum Przyrodniczego Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie. W 1957 roku kierował budową Polskiej Stacji Polarnej w Horsundzie w Sørskapp Land na Spitsbergenie.

W latach 1966–1979 pracował w Norweskim Instytucie Geologicznym (Norges Geologiske Undersøkelse) w Trondheim. Od roku 1971 miał obywatelstwo norweskie, co zapewne ułatwiało mu jego rozległe podróże po świecie.

Za swoje dokonania geologiczne na terenie Norwegii został odznaczony przez króla Haralda V Norweskim Królewskim Orderem Zasługi (I klasy). Otrzymał także najwyższe odznaczenie Polskiej Akademii Nauk – Medal Mikołaja Kopernika. Opublikował około 40 prac naukowych oraz dwie książki popularnonaukowe.

W 2007 roku, w uznaniu jego zasług, Polska Stacja Polarna na Svalbardzie została nazwana jego imieniem. Spuścizna po Stanisławie Siedleckim znajduje się w Zakładzie Badań i Dokumentacji Polarnej, w budynku Instytutu Botaniki w Krakowie przy ul. Kopernika 27.

To krótkie wspomnienie czasu spędzonego wspólnie ze Stanisławem Siedleckim, którego trzynasta rocznica śmierci minęła niedawno (7 marca 2015), piszę, aby uświadomić – głównie sobie – że poza osiągnięciami zawodowymi każdy ma także swoje osobiste życie, czasem głębiej zapadające w pamięć innych niż jego dokonania.

Czy uniwersytet może nie być badawczy?

Ostatnio dużo mówi się o potrzebie istnienia w Polsce uniwersytetów badawczych. Minister Marek Ratajczak niedawno stwierdził, iż „trzeba budować zrozumienie dla idei uniwersytetów badawczych – to może być w naszym kraju 5–6 uczelni – które będą w stanie awansować na akademickiej mapie świata”. Plan ten jest zbieżny z przedstawionym wcześniej programem profesora Macieja Żylicza, aby **wyłaniać uniwersytety badawcze w drodze konkursu**, a po kilku latach weryfikować i ewentualnie odbierać status uniwersytetu badawczego. Najbardziej radykalny program sformułował rektor Krzysztof Pawłowski. Polega on na utworzeniu dwóch wielkich **narodowych uniwersytetów badawczych**, kumulując potencjał najlepszych ośrodków naukowych Warszawy i Krakowa. Z punktu widzenia uczelni mniejszych plany takie wyglądają bardzo niepokojąco, bo grożą im degradacją. W tym kontekście najlepiej wygląda plan rektora Pawłowskiego, gdyż po pierwsze ogranicza liczbę wyróżnionych uczelni do tylko dwóch, a po drugie stawia im dodatkowe wymaganie, jakim jest „wyraźne zmniejszenie liczby studentów”. W takiej sytuacji stworzenie dobrego systemu akademickiego, będącego zapleczem uczelni badawczych, jest koniecznością, której chyba nie da się zignorować. Natomiast plany rządowe mają wyraźny aspekt negatywny. Można się obawiać, że kilka uniwersytetów będzie traktowanych w specjalny sposób, a pozostałe zostaną pozostawione samym sobie w obecnych **złych uwarunkowaniach systemowych**, zapewne przy zmniejszonym finansowaniu.

Moim zdaniem, każdy uniwersytet powinien mieć cechy przypisane przez profesora Żylicza uniwersytetom badawczym. Co więcej, posiadanie takich cech powinno być dla uczelni opłacalne ekonomicznie. Gdyby dobry uniwersytet musiał być „definiowany inaczej niż przewiduje obecna ustawa”, należałoby zmienić ustawę w odniesieniu do wszystkich uczelni akademickich. Dlaczego bowiem lepiej traktować tylko wybrane uczelnie? Wydaje mi się jednak, że **ustawa** dopuszcza różne rozwiązania, w tym takie, które w zrównoważony sposób traktują rolę dydaktyczną i naukowo-badawczą uczelni. Dopiero ustawa budżetowa i **ministerialny algorytm** ustanawiają i sankcjonują patologiczny stan rzeczy, polegający na tym, że cały fundusz płac uczelni pochodzi ze środków dydaktycznych, a środki naukowe (wspomniane w artykule 97 ustawy) są w praktyce niewielkie i nawet w najlepszych uczelniach mają zaniedbywalnie mały wpływ na strukturę etatową. Należy to jak najprędzej zmienić, jeśli chcemy, aby z uczelni akademickich wyłoniły się uczelnie badawcze.

Najlepszym rozwiązaniem byłaby **zmiana algorytmu w kierunku projakościowym**, w wyniku której strategia

uczelni stawiająca na badania naukowe i wysoką jakość studiów nie przynosiłaby strat finansowych (jak to ma miejsce obecnie). Kluczowym elementem dobrego algorytmu, obok składnika studenckiego, powinien być składnik związany z efektami badań naukowych oraz **preferencja dla rozwoju kadrowego wydziałów mających wysoką kategorię naukową**. Bardzo zastanawiający jest fakt, iż najlepsze uczelnie nie tylko nie forsują zmian algorytmu we wskazanym tu kierunku, ale wydają się być zadowolone z obecnej sytuacji, zdecydowanie faworyzującej wydziały masowe. Wprawdzie uczelnie te, przyciągając dużą liczbę studentów, są beneficjentami obecnego systemu, ale odbywa się to kosztem utraty takich atrybutów uczelni badawczej, jak ograniczona liczba studentów i relacja mistrz–uczeń.

W obecnym systemie żadna polska uczelnia nie ma więc szans na ewolucję w kierunku wielkiej uczelni badawczej, zajmującej poczesne miejsce przynajmniej w Europie. Podobnie jak **prof. Adam Jakubowski** nie wierzę też w skuteczność drogi polegającej na arbitralnym wybraniu paru uczelni i bardzo mocnym ich dofinansowaniu. Oczywiście pozwoli to im zwiększyć dystans od pozostałych polskich uczelni, ale obawiam się, że brak krajowej konkurencji nie będzie sprzyjał dalszemu rozwojowi. Zresztą płacenie na wyrost (za wnioski i obietnice) słabo się sprawdza, lepiej płacić za efekty.

Narodowym uniwersytetem badawczym, zasługującym na znacznie większe finansowanie (ale też mającym przed sobą innej skali wymagania, zwłaszcza w odniesieniu do kulejącego w Polsce styku nauki z gospodarką) niech będzie ten polski uniwersytet, który wejdzie do pierwszej setki (czy dwusetki) w rankingu światowym oraz spełni dodatkowe wymogi jakościowe, dotyczące pozycji badawczej (wszystkie wydziały co najmniej kategorii A, odpowiednio duży procent wydziałów kategorii A+), dostępności kadry (jednoetatowość, zakaz prowadzenia więcej niż kilku prac magisterskich przez jednego promotora), rezygnacji ze studiów zaocznych czy ograniczenia studiów licencjackich na rzecz studiów magisterskich i doktoranckich. Zadanie takie jest ambitne, ale wykonalne (przy założeniu zmiany reguł finansowania uczelni w kierunku projakościowym). Rankingi są zazwyczaj ekstensywne, więc całkiem realną drogą do takiego awansu jest postulowana przez rektora Pawłowskiego konsolidacja paru mocnych uczelni (albo ich najlepszych wydziałów), a nawet instytutów PAN (jeśli algorytm podziału dotacji podstawowej będzie miał składową naukową, to włączenie instytutu w ramy uczelni może być opłacalne dla obu stron). Być może jest to jedyna droga.

JAN L. CIEŚLIŃSKI

Wydział Fizyki,
Uniwersytet w Białymstoku

zaPAU

Książd Pana wini, Pan Księdza...

Wielu, którym nie podoba się stan polskich szkół wyższych (czyli praktycznie wszyscy), debatuje ostatnio energicznie, gdzie jest faktyczne źródło problemów. Oczywiście każdy wskazuje na kogo innego. W niedawnym wywiadzie Pani Minister obciążyła odpowiedzialnością rektorów. W końcu uczelnie cieszą się wielką autonomią i mogą kierować się swoimi zasadami, więc Minister ma bardzo ograniczone możliwości działania. Rektorzy wskazują na wadliwe przepisy ustawy i rozporządzenia Ministra, które krępują im ręce, a także na strukturę uczelni, która uniemożliwia jakiegokolwiek koherentne działanie, ponieważ dziekani są niemal całkowicie niezależni od Rektora i mogą prowadzić swoją własną politykę. Z kolei dziekani wskazują na ograniczenia pochodzące z centrali oraz z całkowitego uzależnienia od decyzji Rady Wydziału. Podobno kierownicy Katedr i Zakładów też nic nie mogą i jęczą pod „terrorem” kwestorów, kanclerzy i dyrektorów administracyjnych.

To wszystko byłoby nawet zabawne, gdyby nie to że koszty tych przepychanek spadają na Boga ducha winnych „szeregowych” pracowników. Tych właśnie, którzy są najważniejsi, bo prowadzą badania i zajęcia ze studentami. Chociaż oni też są do pewnego stopnia winni, bo to ich głosami są wybierane władze, przynajmniej na szczeblu uczelni lub instytutów. Mogliby więc mieć jakiś – przynajmniej pośredni – wpływ na sytuację. Ale zazwyczaj albo nie zdają sobie sprawy ze swoich możliwości, albo nie potrafią się zorganizować, albo po prostu godzą się z obecną sytuacją, zgrzytając (po cichu) zębami.

Krótko mówiąc, NIKT nie jest odpowiedzialny. Panuje prosta (i stara jak świat) kelnerska tradycja: to nie ja, to nie mój rewir, to kolega¹ Zgodnie ze starą prawdą, że ryba zawsze zaczyna psuć się od głowy, można ten proces określić jako spór o rybią głowę: nikt nie chce przyznać, że jest głową, więc zapewne głowy po prostu nie ma.

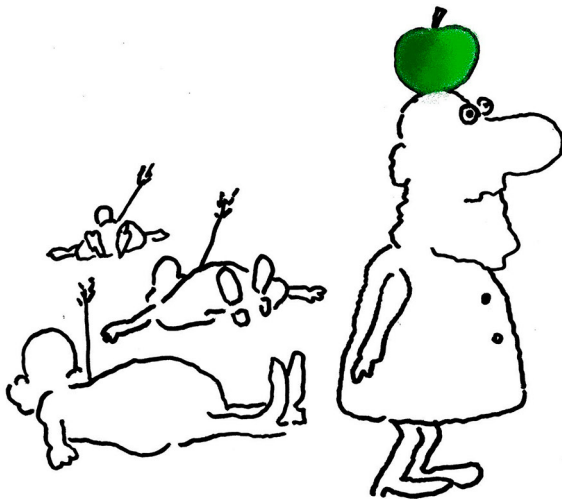
Czyli cały zamęt kończy się jak zwykle: niczym. Pozostają tylko wzajemne pretensje.

Zamiast więc rozpraszać siły, wysuwając wzajemne oskarżenia, radziłbym skierować wspólny atak na zewnętrznego „wroga”. To nie takie trudne, bo są sprawy, które łączą wszystkich. W jednym od lat jesteśmy absolutnie zgodni: uczelnie potrzebują więcej pieniędzy. I trudno temu zaprzeczać, skoro, jak twierdzą obeznani z tematem, cały budżet polskiego resortu nauki jest tylko dwa razy większy od budżetu jednego Uniwersytetu Stanforda.

Kilka tygodni temu Prezes PAU zwrócił uwagę, że winą za chaos panujący w uczelnianej administracji można obarczyć Najwyższą Izbę Kontroli (PAUza Akademicka 289, 19 marca 2015). Dowiedziałem się niedawno od Pana Prezesa, że teza ta została przyjęta z aplauzem przynajmniej w kilku ważnych polskich uczelniach. Przy okazji zdradził mi, że wykrył jeszcze jednego winnego: Polską Komisję Akredytacyjną, która, zamiast sprawdzać rzeczywisty poziom kształcenia w badanej uczelni, najczęściej ogranicza się do formalnego sprawdzania sylabusów i innych kryteriów formalnych.

Zapewne można by znaleźć jeszcze kilku winowajców. Zachęcam do poszukiwań.

ABBA



Eksperymenty nauczania, rys. Adam Korpak



¹ Ostatnim przykładem tej techniki, który mnie doprawdy zachwycił, jest przypadek człowieka, który najpierw zaserwował nam zupełnie obłądny, moim zdaniem, system Krajowych Ram Kwalifikacyjnych, czyli kompletnie bezużyteczny bubel (kosztujący jednak setki tysięcy godzin straconego czasu), a teraz publikuje wielostronicowy elaborat, piętnujący uczelnie za niewłaściwe wykonanie tej bzdury...

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Aleksander Koj, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Jerzy Vetulani, Marta Wyka, Jerzy Wyrozumski, Jakub Zakrzewski, Franciszek Ziejka.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Kobos, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotoskład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31–016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.



Kraków – warto wiedzieć

Fascynująca neurochirurgia

W filmie Anny Dudek-Ziętek zatytułowanym *Ja zostaję* profesor Tomasz Trojanowski opowiadał o nietypowej przygodzie. „Było już ciemno. Szedłem ciemną uliczką i tak sobie pomyślałem: pewno wyjdą jakieś typy i będą ode mnie czegoś chcieli. Rzeczywiście, wychodzi z bramy trzech drabów. Dobry wieczór – zaczynają grzecznie, ale potem może się zacząć... I jeden z nich pyta, czy ja sobie go przypominam. Patrzę na człowieka i nic... Jest ciemno, więc nie wiem, kto pyta... A on mówi: – Pan doktor mnie operował trzy lata temu, taka długa operacja. I wtedy przypominałem sobie, o kogo chodzi. Zapytałem, jak się czuje, on odpowiedział, że bardzo dobrze. Z ulgą przyjąłem tę wiadomość, nie tylko dlatego, że się dobrze czuje, ale że tym razem udało mi się wyjść z życiem z tej ciemnej uliczki”

PAUza Akademicka spotkała się z profesorem Trojanowskim w jasnym i przyjaznym otoczeniu, jakim jest krakowskie Centrum Kongresowe. Było sympatycznie...

Profesor Tomasz Trojanowski jest neurochirurgiem i do Krakowa przyjechał, by wziąć udział w konferencji *Intensywna terapia – wyzwania i możliwości w leczeniu chorych w stanach krytycznych*, podczas której wygłaszał dwa wykłady i brał udział w posiedzeniu Zarządu Towarzystwa Intensywnej Terapii. – Zająłem się neurochirurgią, bo interesowały mnie dziedziny zabiegowe. W ogóle to chciałem być elektronikiem. Interesowała mnie informatyka: układy elektryczne, tranzystory, które w tamtym czasie – w latach sześćdziesiątych – wchodziły na rynek. Mogłem też zainteresowania rozwijać na Politechnice Warszawskiej. Jednak nie chciałem wyjeżdżać z Lublina, więc zdecydowałem się na studia w Akademii Medycznej. A jak już byłem na medycynie, wybrałem neurochirurgię. Uważałem, że umiejętności manualne i zainteresowanie budową układów elektronicznych mogą mi się przydać w neurochirurgii, która jest chirurgią bardzo precyzyjną. Jednocześnie interesowało mnie działanie układu nerwowego. Jego zrozumienie było wyzwaniem podobnym do rozumienia funkcjonowania elektronicznych układów.

Zdaniem profesora Trojanowskiego, neurochirurgia była wówczas – i nadal jest – bardzo dynamicznie rozwijającą się dziedziną medycyny. I to było dla niego ważne: żeby się włączyć w nurt specjalności, gdzie są duże perspektywy innowacji, znajdowania rozwiązań, których dotychczas nie było. – Miałem możliwość poznania twórców nowoczesnej neurochirurgii, rozmów i wspólnych wykładów, i to było atrakcyjne: uczestniczenie w rozwoju nowej dziedziny medycyny. Bo to był proces tworzenia, a nie tylko odtwarzania. Operowanie mózgu może ratować wiele osób, które były jeszcze niedawno uważane za nieuleczalnie chore. Obecnie te wyniki są zupełnie dobre. To jest fascynujące, to wciąż. Przecież mózg decyduje o naszym człowieczeństwie. Chirurg ingeruje w szalenie intymną sferę naszej osoby.

Neurochirurgia w dużym stopniu zawdzięcza swój postęp zastosowaniu osiągnięć techniki. – Używamy szeregu



Fot. Marian Nowy

Profesor Tomasz Trojanowski

urządzeń technicznych, w których obsłudze mam łatwość, ponieważ znając niezłe fizykę i specjalistyczne urządzenia, mogę je lepiej wykorzystać. Jest takie zjawisko, że do medycyny idą często ludzie, którzy słabiej się czują w matematyce, fizyce, w naukach ścisłych. I dlatego pojęcie głębi ostrości mikroskopu, natężenie oświetlenia w zależności od odległości, od wielkości pola naświetlanego, są dla nich pojęciami enigmatycznymi, a dla mnie jest to klarowne. Mnie mikroskop operacyjny nie przeszkadza, przeciwnie – jest bardzo dobrym narzędziem wspomagającym.

Profesor przypomina, iż medycyna jest dziedziną, która stwarza możliwość osiągnięcia satysfakcji ze swej pracy każdego dnia. W porównaniu z innymi zawodami, gdzie czasami trzeba bardzo długo działać, żeby uzyskać oczekiwany efekt (lub ponieść klęskę...), to lekarze mają szansę, aby codziennie komuś pomóc, coś dobrego uczynić.

Profesor Tomasz Trojanowski kieruje Katedrą i Kliniką Neurochirurgii i Neurochirurgii Dziecięcej Uniwersytetu Medycznego w Lublinie. – Nasz ośrodek jest rozpoznawalny. Jestem zadowolony z tego, co robię, i mam satysfakcję z życia, ponieważ mam szczęśliwe życie rodzinne – przyznaje prof. Trojanowski. Dodajmy, że małżonka, profesor Małgorzata Szczerbo-Trojanowska jest kierownikiem Zakładu Radiologii Zabiegowej i Neuroradiologii (jedyna w Europie Wschodniej posiadaczka Złotego Medalu Europejskiego Towarzystwa Radiologów). Państwo Trojanowscy mają dwóch synów – Konrad jest biotechnologiem, a Piotr laryngologiem, specjalizującym się w przeszczepach tkankowych w rekonstrukcjach twarzy.

Z profesorem Tomaszem Trojanowskim będziemy mogli się spotkać podczas jego wykładu w październikowej Kawiarni Naukowej Polskiej Akademii Umiejętności.